Nr. 26. We Lwowie dnia 30. czerwca 1901. Rok 10.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

O wpływie trunków alkoholicznych

na organizm zwierzęcy i ludzki.

I.

Wpływ trunków alkoholicznych na organizm istot ożywionych, był przedmiotem badań wielorakich. Prawie wszyscy dawniejsi uczeni uznawali działalność napojów wyskokowych na organizm, albo jako dodatniej natury, albo przynajmniej jako nieszkodliwy dla zdrowia, szczególniej zaś w tych wszystkich wypadkach, gdy się ich używa umiarkowanie, a nadto w dobrych i „szlachetnych“ gatunkach. Tylko picie złych win miało sprowadzać artrytyzm, a także wódki z fuzlem wywoływać miały złe następstwa, przeciwnie, wódkę tak zwaną w Rosji „oczyszczennaja“, chwalono powszechnie, tak jak u nas chwalą dzisiaj „Bałabanówkę“, albo dobrą „starkę“. Nadto ze względu na życie towarzyskie przypisywano napojom alkoholicznym bardzo cenne i wielostronne znaczenie. Powiadano n. p., że przy kieliszku otwierają się serca, topnieje wszelki przymus, że na dnie puharów leży zawsze prawda: „*in vino veritas*“.

Ten pogląd, zdobyty pracą całych pokoleń przy winie, stał się w wielu wypadkach probierzem nieomylnym, służącym do poznawania charakterów ludzi, z którymi się ma do czynienia. I tak Sybiracy upajają „Naczalstwo“ swoje na bankietach, ku ich czci wydawanych, ażeby się przekonać o tem „kakawy onie wo chmielu“, czyli: jakimi są władcy w stanie rozmarzenia alkoholicznego: „*Dabriak*“, powiadają, gdy się ślini i całuje, „*Umnica*“, gdy plecie androny długie w swych oracjach przy stole, „*Ważnyj*“, gdy upiwszy się, siedzi milczący, „*Lutyj*“ gdy łaje i wymyśla, „*Wiesiołyj*“, gdy bierze się pod boki i sunie trépaka. „*Maładiec*“, gdy wszystkich innych przepije. Poją następnie Sybiracy kolegę swego, przyjaciela, swata, wogóle każdego nowego człowieka, ze swego otoczenia, ażeby się dowiedzieć o tajnikach duszy jego najskrytszych, sądzą bowiem ogólnie, że natura ludzka pod wpływem wina występuje bez żadnych obsłonek, czyli, że jest wtedy nagą: „*gołaja dusza*“, albo „*winnaja dusza*“, tak ją nazywają na Syberji. Widzimy tutaj potwierdzenie faktu, że: *Les beaux ésprits se rencontrent.* Wynalazek nagiej duszy już od dawna był znany na Syberji; dobrze przedtem, nim do niego dojść potrafiono w Krakowie.

Jak ważną rolę odgrywa wino w życiu Sybiraków i jak wielkie znaczenie ma u nich dusza naga, może posłużyć przykład następujący: Jeden z lekarzy, bawiący w Irkucku, starał się o rękę bardzo bogatej panny, jedynej córki właściciela kopalń złota. Przyjęto go zrazu bardzo życzliwie, ale kiedy w żaden sposób nie zdołano go nakłonić do poddania się próbie pijackiej i gdy nie chciał rozebrać swej duszy do naga, dostał nieborak odkosza. Przy naradzie familijnej oświadczono pannie, której się trzeźwy pretendent do jej ręki, albo raczej do jej wiana, podobał nawet, że każdy niepijący musi mieć w sobie coś złego, skoro nie chce swej natury na jaw wykazać, albo jak powiadają na Syberji „baitsia pokazat' swaju prirodu, swaju gołuju duszu“.

Nietylko Sybiracy przywiązują wielkie i dodatnie znaczenie towarzyskie do trunków wyskokowych, ale i wysoka dyplomacja europejska i azjatycka, następnie osoby panujące, posługują się winem, jako środkiem bardzo skutecznym dla wielu rozmaitych szlachetnych i mniej szlachetnych celów, uważając je za czynnik bardzo ważny w życiu społecznem. Wysocy dygnitarze dworscy, jak: podczaszowie, cześniki etc. stali przy obrzędach dworskich u ołtarza winnego w wielkiej estymie.

Ile to tajemnic stanu zdradzono przy puharach, z ilu to szczegółów życia codziennego, z ilu własnych przewinień wyspowiadano się przy kieliszku, komisje śledcze w Warszawie, żandarmerja w Rosji, mogłyby wiele nam ciekawych szczegółów udzielić w tej materji.

Dzięki przymiotom wina, stało się ono napojem dyplomacji we wszystkich sferach naszego życia. Gdy Krup n. p. sprzedaje swe działa Japończykom, poi ich szampanem, a tygodniki ilustrowane spieszą uwiecznić tę scenę, jako zda-

rzenie wielkiej wagi. Gdy chcemy kogo ugościć wspaniale, uczcić zasługi czyje, zaskarbić łaski możnych, upajamy ich i siebie szampanem i piszemy szumne relacje do dzienników, kreśląc, jak to wznoszono toasty, jak się ściskano, jaki nastrój panował wesoły, jak się bawiono ochoczo aż do dnia białego. Gdy się radujemy i weselimy, gdy nam smutno i źle, gdy witamy nowonarodzonego, gdy żegnamy odchodzących w mogiły, gdy mamy łudzić siebie, lub innych, zawsze i wszędzie uciekamy się do alkoholu.

Tymczasem w nowszych czasach, poszukiwania szersze i dokładniejsze wykazały, że alkohol we wszelkich napojach jest trucizną, a to nie tylko fizyczną, lecz co gorsza i moralną. Napoje bowiem wyskokowe zabijają człowieka, jako istotę społeczną, moralnie o wiele wcześniej, niż jako jednostkę życiową. Następnie wykazano, że wady, nabyte wskutek używania trunków alkoholicznych, przekazują się potomnie, a nareszcie, że materjały spożywcze i praca ludzka, poświęcone na wyrób napojów rzeczonych, stanowią kapitał ekonomiczny, zatracony najlekkomyślniej w świecie.

Poznanie i uprzytomnienie sobie skutków działalności trunków wyskokowych na organizm, są tem konieczniejsze, że w naszem społeczeństwie panuje najwszechwładniej dotąd jeszcze przekonanie, datujące się z czasów przeszłych, które gdzieindziej nosi już słusznie nazwę przesądu. U nas dotąd przypisuje się wysokie higjeniczne znaczenie winom, zwanym szlachetnemi, szczególniej zrodzonym na ziemi węgierskiej, edukowanym w Krakowie i Lwowie, albo też i Warszawie. Zaleta wina: „Hungariae nato, Cracoviae educato, weszło u nas w przysłowie. Mamy też i specjalnych znawców dla kwalifikowania i sortowania win i drogo im ten talent opłacamy, lepiej bowiem są oni wynagradzani, niż najlepsi nauczyciele w kraju.

Następnie wszelkie wiszniaki, jabłeczniki, maliniaki, dereniaki, miody panieńskie i sycone, cieszą się reputacją najzdrowszych napojów, tak jak „Chlebnoje wino“ czyli wódka, pędzona ze zboża, żytniówką zwana, na Syberji, bo czyż może społeczność, mało z higjeną obyta, przedstawić sobie produkt, otrzymywany z najzdrowszych materjałów, jako szkodliwy dla zdrowia? A już za wielce pożywne trunki uchodzą u nas piwa najrozmaitszego pochodzenia, któremi chłodzimy się latem, rozgrzewamy zimą, poimy damy w domu i po ogródkach i karmimy niem dzieci. Naostatek uznaliśmy wódkę, czy gorzałkę, za środek konieczny dla odżywiania mas ludowych i budzenia w nich, niezbędnej dla życia towarzyskiego, wesołości niewinnej, sielankowej. W iluż to powieściach i poematach, autorowie, kreśląc nam obrazy poezji pełne, wykazują, jak trunki alkoholiczne rozweselają umysły, rozwiązują języki, odświeżają pamięć i wywołują na jaw, gdzieś w życiu codziennem utajone na dnie duszy, uczucia przyjaźni, miłości, patrjotyzmu.

Rzekome właściwości gorzałki, zniewalają tak zwanych przyjaciół ludu, do gromkiego protestu przy każdem rozporządzeniu rządu, dążącem do oclenia alkoholu, im się bowiem zdaje, że uprzystępniając użycie wódki, oddaje się wielką usługę klasie roboczej.

Również w sferach leczniczych panują przesądy, na dawnych przekonaniach, choć dzisiaj uznanych za mylne, oparte. Bardzo niedawno, bo w czasie ostatniej epidemji influenzy, uważano powszechnie arak, użyty w dozach dużych, za radykalny środek przeciwko temu cierpieniu.

Otóż w miejsce tych wszystkich przekonań ustalonych, inne, nowsze powinne torować sobie do nas drogę.

Jakkolwiek nie jestem specjalistą w zakresie zagadnień, o których tu mowa, biorę jednak na siebie inicjatywę przedstawienia głównych rezultatów badań nowszych, wraz z podaniem krótkiego zarysu historji alkoholizmu, jakim on był przedtem, a jakim jest dzisiaj. Podejmuję się tego zadania, bo już od lat dawnych miałem ciągle uwagę zwróconą na ten przedmiot i sądzę, że mam rację, gdy utrzymuję, iż całą winę braku moralności w obecnej dobie przypisać należy działalności trunków wyskokowych. Zaś podnosząc dzisiaj tę kwestję tak ważną, mam nadzieję, że potrafię pobudzić i specjalistów do współdziałania w kierunku upragnionym, dążącym do otwarcia oczu publiczności na klęskę alkoholizmu powszechnego.

Opierając się na codziennych spostrzeżeniach, dla każdego zresztą obserwatora dostępnych, już od ław uniwersyteckich uznawałem szkodliwość alkoholu, używanego w trunkach, byłem następnie szczerym zwolennikiem abstynencji całkowitej, bo tak zwane picie umiarkowane, jest to proste łudzenie siebie i innych. Niema pijaka, któryby nie utrzymywał, że pije umiarkowanie, a zresztą to, co się nazywa umiarkowanem dla jednego organizmu, jest już nieumiarkowanem dla drugiego.

(C. d. n.) *Dr. Benedykt Dybowski.*

Włodzimierz Jarosz.

Straż pożarna.

(Obrazek wiejski).

I.

W wójtowej chałupie, przy małej kopcącej lampce, wokoło stołu, siedzą panowie radni, głowy na dłonie skłoniwszy i dumają ciężko nad gromadzkiem dobrem.

Siedzą i myślą, że przecież to ciężko czępieć w urzędzie: po całodziennej kośbie, co ich ciała do cna wygniotła, lepiej by im głowę w słomę zaryć, a chrapać, aż glina ze ścian poleci.....

Pisarz sennym głosem czytał jakiś papier. Głowa radnego Więcaka wgniotła się między łokcie i nosem spoczęła na stole, a długie jej włosy owinęły się koło rąk, co zaciśniętemi pięściami sterczały ku górze, jakby wyzywały powałę do walki. Inni tarli oczy coraz częściej, układali głowy na dłoniach coraz wygodniej — wójt sam zaczął kiwać czupryną, jak żyd, modlitwy odprawiający, a z kąta słychać było ciężkie oddechy zmachanych przez dzień dziecisk. Sen szedł po chałupie — jeszcze chwila, a czytającemu pisarzowi papier z rąk wytrąci, usta mu zamknie i głowę na stół ułoży — do spoczynku.

Nagle stała się rzecz dziwna. Między drzemiącymi wszczął się szelest — otworzyli szeroko oczy, mocniej usiedli na ławach i po chałupie przeszedł szum krótkich, zdziwionych pytań kilkunastu ludzi.

— Co?...

— Czego chcą?....

— Gnój każą wywozić?...

— Choroba ich napadła....

— Co to jest?... jak to jest?...

Pisarz zrozumiał pytanie. Chrząknął, zdjął okulary z nosa i z lubością wodził wzrokiem po twarzach ojców gromady, co nastraszeni, zgniewani lub rozśmieszeni, patrzyli teraz w niego, jako w ostatnie źródło mądrości, jako w człowieka, co łaską bożą wydarł cesarskim urzędom tajemnicę ich strasznej gwary.

Patrzyli na niego wszyscy w milczeniu, z ufnością dzieci, czekając wyjaśnień: czekał przemędrkowaty Skiba, nowator z przewróconą pałką, z ostrzyżonemi krótko włosami, w bluzie po jakimś lekarzu wojskowym — patrzył i czekał ten stary, uparty konserwatysta, Adamski, co nigdy nie chce uwierzyć w inną mądrość, jak chłopską — patrzył i ten, ciągle pisarzowi krew psujący Pietrek z dołu, co zawsze chce wszystko robić według własnego widzimisię — patrzył i Rogal, swat Adamskiego i dwu Suchcików, nigdy nie rozłącznych i Starczyk, cioteczny wójta, co rok temu za jego przykładem kurną chałupę zburzył i komin nad dach wyciągnął — i bogaty pijaczyna Kaczor, o którym pisarz powiada, iż dlatego chce być radnym, że szuka sposobności do picia — i siwy, jak gołąb, Korecki i Wojna i Patyk — patrzyli wszyscy z ciekawością i z zapartym oddechem wśród zupełnej ciszy, przerywanej chyba brzęczeniem rozwścieczonych światłem much, oddechami śpiącej rodziny wójtowej i chrapaniem Więcaka, co zajął pół stołu swymi długimi włosami.

Pisarz chrząknął raz jeszcze, przejechał ręką po włosach, co czyni zazwyczaj, będąc zadowolonym ze siebie i zaczął:

— Widzicie, panowie rada.... Jak się coś czyta, to nie trza spać, bo to jest urzędowanie w radzie gminnej, a nie urzędowanie przy babie....

Kilku radnych wymuszonym uśmiechem przyjęło tę uwagę.

— Ale kiedyście nie zrozumieli, to wam przeczytam jeszcze raz...

I zaczął jednostajnym głosem czytać papier na nowo:

— Liczba dwadzieścia pięć ośmset sześćdziesiąt dwa. Z c. k. starostwa w... Do wszystkich zwierzchności gminnych. Okólnik. Z powodu odbyć się w tych okolicach mających, w sierpniu bieżącego roku cesarskich manewrów, z uwagi, że w gminach powiatu tutejszego nie wykonuje się przepisów, policji sanitarnej dotyczących.....

Pietrek z dołu żachnął się.

— Zlitujcie się, panie sekretarzu — noc... Jutro robota... Nim przeczytacie to całuśkie pismo, kurki zejdą...

— Ta... ta... ba-jakże....

Niech no nam pan sekretarz jeno w krótkości powiedzą.... co czas po próżnicy marnować — przedkładano ogólnie.

Pisarz pokiwał głową, jak to czyni człowiek, mający ciężkie strapienie.

— W sierpniu odbędą się w tych okolicach cesarskie manewry. A na tych manewrach będzie sam cesarz. Z uwagi, że nieprzyzwoitą byłoby rzeczą, gdyby cesarz zobaczył gnój pod waszemi chałupami, każe starostwo zrobić z tym gnojem porządek. Taki jest krótki sens.

Zamilkł.

Porządek.... manewry.... starostwo.... gnój.... Radnym pękały głowy, chociaż przywykły do rozwiązywania zawikłanych węzłów. Co komu szkodzi gnój?....

— Taki piękny gnój, cobym go i za ośmdziesiąt papierków nie dał... — westchnął Adamski.

— Co oni chcą od tego gnoju?.... — myśleli, spoglądając po sobie zdziwieni ojcowie gromady.

Wreszcie wójt zabrał głos, zwracając się do pisarza z pytaniem.

— No i co?...

Pisarz wzruszył ramionami i obojętnie odpowiedział, grzebiąc w papierach.

— Nic. Trzeba wykonać polecenie starostwa. Władza każe — a my jesteśmy od tego, żeby wykonywać, co nam każą.

Z za stołu dźwignął się Skiba, jakby do odejścia. Ręce za pas założył, do pisarza bokiem stanął i nie patrząc na niego, mówił.

— Dobrze to takim gadać, co im gnój śmierdzi. To jest okrutnie mądre gadanie. Zrobić porządek z gnojem i tylo... A ty bier siarki, ta podpal gnój na kupie — czy jak?... Bo niby co zrobię z gnojem, jak nawet siano jeszcze w polu. Juści, jak jest napisane, żeby zrobić porządek, to musi być jaki porządek.

— Ba — jakże...

— Przecie coś musi być...

Panowie rada doszli do przekonania, że wyjaśnienie pisarza nie skończone. Ten poprawił się na ławie, splecione dłonie oparł na stole i zaczął.

— Pewnie, że jest napisane, jak zrobić. Czemuby nie było? Starostwo nie może się zdawać na to, co gmina zrobi, bo gmina nicby nie zrobiła — jeno musi samo kazać zrobić tak i tak. Ale moi panowie rada — gniewał się, rzucając rękami — czy ja mogę co powiedzieć, jak mi co chwila który z was przerywa i słowa skończyć nie da?...

Patrzył na Skibę, który zawstydzony usiadł i przysiągł sobie nie odzywać się już więcej.

— Starostwo — ciągnął dalej nauczycielskim głosem pisarz — kazało zrobić trzy rzeczy. Naprzód, jeżeli gdzie blisko przy chałupie jest gnój, wydający wyziewy smrodliwe, zdrowiu ludzkiemu łatwo szkodzić mogące, to należy go stanowczo usunąć.

Pietrek z dołu grzmotnął swą ogromną łapą w stół, tak, że śpiący Więcak, westchnąwszy ciężko, otworzył oczy i jęknął:

— Chryste... ta za co mnie, Magduś, znów pierzesz.....

Panowie rada rozweselili się skargą Więcaka. Pytali się go, co mu się śniło, żałowali, że nawet we śnie baba go dręczy i śmieli się z niego, jak zwyczajnie z człeka mamrawego, co baby w klubie udzierżeć nie zdole.

Radni rehotali chwilę, trzęsąc całym stołem, co chwiał się i trzeszczał pod ich ciężarem, a kiedy uspokoili się, już i Więcak oprzytomniał. — Zaczął Adamski

— Ale niechże mi pan pisarz powiedzą, co ja mam dziś z gnojem zrobić. Na gościniec przecie nie wywiezę...

— Gdzie ja dziś przed żniwami, trzystaby djabłów zjedli, gnój podzieję?... — dodał Pietrek z dołu.

Pisarz wdział okulary i oglądając jakiś papier, skręcił głową.

— Fi.... Starostwo powiada, że jeżeli gnoju od mieszkania oddalić nie można, to trzeba go przysypać warstwą niegaszonego wapna, choć na dwa cale i przydeptać gliną.....

Dwanaście piersi radzieckich buchnęło śmiechem szczerym, a tak głośnym, że nawet dzieciska na łóżku rzucać się zaczęły.

Pisarz, człek miejski, nie zrozumiał przyczyny wesołości panów rady. Siedział zdziwiony pomiędzy nimi i z ponad okularów rzucał pytający wzrok po obecnych, jakby żądał wytłumaczenia zagadki. Chałupa drgała wesołością.....

A tobyśmy sobie narobili — tłumaczył pisarzowi wójt, kiedy wreszcie śmiech przeminął — żebyśmy sobie sami gnój wapnem palili.

— To chyba taką grubę zrobić — kpił sobie Skiba — i drzwi do niej, żeby było kędy codzień gnój z pod chudoby dorzucać.....

— Ba — ta tak.... potakiwali wesoło inni.

— Co mnie do tego — wzruszył ramionami pisarz — gadam tak, jak jest napisane.... Starostwo wydało rozkaz, a gmina ma tego przypilnować.

(C. d. n.)

4)

Cienie chińskie.

(Dokończenie).

Mówił o zajętych przez cudzoziemców kopalniach węgla w Szan-si, gdzie tysiące lat tysiące biedaków kopało opał i żyło z jego sprzedaży: mówił o wielkim cudzoziemskim piecu do pławienia żelaza w prowincji Cho-nan, który pożarł tysiące małych pieców okolicznych kowali; mówił o kolejach żelaznych, pozbawiających pracy tragarzy i oryli; o rzekach i kanałach, które jako niepotrzebne zostaną, zaniedbane i przestaną zraszać pola... Mówił o przebiegłości i okrucieństwie białych, o ich barbarzyństwie i nieprzebranej ciemnocie... Wspomniał, jak trzydzieści lat temu Francuzi i Anglicy zrabowali letni pałac Bogdychana, jak zniszczyli, podarli drogie materje, których zabrać nie mogli, porąbali cudne sprzęty, potłukli porcelanowe naczynia i wy-

roby z jady, że „żołdacy po kolana brodzili w skorupach arcydzieł mistrzów naszych“. Wspomniał o opium, które Anglicy przemocą wprowadzili do kraju, o ziemi, zagarniętej niedawno przez Niemców, o gwałtach, jakich dopuszczają się w portach na chińskich kobietach majtkowie obcy...

Tłum wiedział o tem wszystkiem z książek, z gazet, z opowiadań i szemrał coraz głośniej.

Mówił o kapłanach cudzoziemskich, którzy mówią o miłości i pokoju, a wiodą za sobą żołnierzy, którzy nie szanują obyczajów obcych, a zmuszają szanować swoje; którzy dają przytułek wszelkiej niecnocie, skoro ta pozwoli im polać się wodą.

— Ci są najgorsi — mówił — gdyż miód mają w ustach, a w sercu truciznę... Nie chcemy ich, a jednak nie odchodzą od nas. Mówią przewrotnie, że chcą nas zbawić, gdyż chcą nas zrobić podobnymi do siebie, a właściwie chcą nas zgubić, gdyż zginiemy przecie, skoro przestaniemy być sobą... Wszystko, co stworzyli przodkowie nasi, porośnie zielskiem i w proch się rozsypie, a na ich miejsce wystrzelą obrzydliwe, zarozumiałe wieżyce ich pagod i staną ich wielopiętrowe domy, gdzie ludzie gnieżdżą się, jak w pudłach gołębie... Ojców naszych grzebać będziemy, jak nie grzebiemy nawet psów, po kilku w jednej mogile, bez znaku i pamięci... Z miejsc, zroszonych ich potem, ustąpią Synowie Nieba, a posiądą je i zaludnią biali barbarzyńcy. Tego pragną oni, ale to nie nastąpi. Synowie Nieba zjednoczą się i wyjdą wcześniej i bez względu na to, czy umrą, czy zwyciężą, nie oddadzą swej pięknej Krainy Kwiatów rudym djabłom... Za dni kilka związek „Kochających Ojczyznę“ uderzy na cudzoziemców. Niech więc każdy, kto ma dwóch braci lub dwóch synów, odda jednego... Niech idą drogami, kierując się na południe, a poznają się po znaku „Pięści“... Idźcie do domu i pomyślcie w cichości, gdyż wielu z was... nie wróci!

Umilkł. Tłum w żałobnem milczeniu zaczął się rozchodzić.

Całą drogę Uang-Ming-Tse nie spojrzał na syna. Tylko przed samemi wrotami oczy ich skrzyżowały się na krótko, gdy A-Pe spytał spokojnie:

— Ojcze, czy mam zaprowadzić bawołu do rzeki?.. Zapomnieliśmy uczynić tego...

— O, tak! — zgodził się Uang, lecz natychmiast sobie zaprzeczył: — Nie, oblej go wodą z kubła!

Babka i matka z trwogą zajrzały w ich twarze, ale mężczyzni nic nie mówili, więc nie śmiały ich pytać!

Tylko Hong-Ju zaczęła dopytywać się prawdy u I-Po, lecz ten był w stanie powiedzieć tylko, że posłaniec z Pekinu, uczony syn starego Czeng-Lin-Li wymyślał na zamorskich djabłów, którzy stłukli porcelanę w pałacu Bogdychana!...

Ta-Niang, choć serce jej pukało z niepokoju nie śmiała pytać dzieci ze względu na męża i czekała niecierpliwie nocy. Dzień płynął, podobny pozornie do innych dni świątecznych, lecz smutek ćmił myśli, ruchy, nawet uśmiechy. Strawę spożywano pospiesznie, rozmawiano mało.

Wreszcie nadszedł wieczór i znów A-Pe, zanim zamknął wrota ojczystej zagrody, wyjrzał za nie. Nad rzeką błyszczały światła, ale wesołe rakiety nie wzlatały w powietrze. A-Pe uczuł trwogę, zdawało mu się, że ciemność i chłód nocy wpadły nagle do jego duszy i zmąciły ją, jak powiew wiatru mąci lampę płonącą.

— Wielu z was nie wróci!.. — przypomniał sobie i wrota pospiesznie zasunął.

— A może ojciec mię nie wyśle... — pomyślał, lecz natychmiast otrząsnął się z przykrego uczucia i wszedł pod werendę.

— Ktoś umrzeć musi... Nie ja, więc inni... Grzechy ich spadają na żywych... Pewnie ojciec powie zaraz, nim położymy się do snu — rozważał.

Lecz Uang milczał uparcie. Tylko, gdy z żoną znaleźli się sam na sam, wybuchnął żalem i opowiedział jej wszystko.

— A-Pe!.. A-Pe!.. Miły A-Pe!.. Potom nosiła cię pod sercem!.. — biadała Ta-Niang.

— Przestań i staraj się usnąć... Noc długa!.. Może bóg Gromu rzuci pioruny na złych drapieżników i zniknął, jak zła mara...

Ale noc cicha, ciepła wisiała na zewnątrz i przenikała do domu przez szerokie okna. Małżonkowie nie spali. W ciemnościach przewracali się na łożach swych. Drewniane wezgłowie Ta-Niang opłynęło łzami. Wreszcie Uang trącił ją w pierś:

— Wstań, zapal światło i nasyp w worek ryżu!

Uniosła się i cicho, jak widmo, przeszła mimo pokoi dziecinnych do odległej spiżarni. Uang liczył tymczasem miedziane sapeki i nizał je na sznurek. Rok był ciężki, więc nie mógł dać wiele pieniędzy synowi. Zresztą na wojnie żyją ludzie z rabunku.

Ryż i pieniądze złożyli na stole ofiarnym obok księgi rodzinnej i wrócili do siebie. Kobieta uchwyciła w objęcia głowę męża. Bez słów siedzieli w ciemnościach, wsparci o siebie, nasłuchując, rychło dźwięki zwiastują zbliżający się ranek.

Wreszcie zmrok siwy zakradł się w głąb domu. Wkrótce potem usłyszeli kroki A-Pe. Wszedł do głównej, rodzinnej komnaty i czas jakiś tam bawił; słyszeli, jak odsuwał drzwi zewnętrzne. Następnie wszystko umilkło, i szmer jego kroków, i nawet oddech... Potem znowu zabrzęczały sapeki... i znowu cicho.. Usłyszeli kroki jego ostrożne znowu bliżej... podchodził ku ich drzwiom... Zdawało im się, że lada chwila wejdzie. Ale on zatrzymał się tuż blizko u proga i stał chwilę. Potem znów wszedł do sali przodków i słyszeli, jak tam błądził i przesuwał przedmioty z miejsca na miejsce... Znów cicho zabrzęczały sapeki. Ta-

Niang porwała się ku wyjściu, ale Uang przytrzymał ją za rękaw... A tymczasem A-Pe nie przestawał błądzić po domu. Chodził, wracał, zaglądał do dziecięcego pokoju, gdzie spali obok siebie I-Po i Hong-Ju. Wreszcie drewniane podeszwy jego podróżnych sandałów zastukały na stopniach werendy. Obszedł dom wkoło i wrota roztworzył. Uang i Ta-Niang wyszli do sali i przez otwory w oknie śledzili go. Barczysta jego figura w niebieskiej tunice, z workiem ryżu na plecach mignęła i znikła za węgłem wrót...

— Synu mój! — jęknęła Ta-Niang, wyciągając ręce.

Uang dłonią szybko zamknął jej usta.

— Tak chce niebo i ziemia! — mówił, a łzy jak groch płynęły mu po twarzy.

Zaczekali, aż kroki odchodzącego ucichły na zbiegającej w dół ścieżce i wyszli przed wrota. Słońce tylko co wzeszło. Wilgotna od rosy okolica lśniła się w jego promieniach. Żółta Ta-Szuej-Chi wolno toczyła nurty w wysokiem korycie. Gęsto płynęły po niej łodzie i dżonki. Tam, gdzie wały ochronne skrywały statki, brunatne i żółte ich żagle wydęte wydawały się piersiami zbudzonych tylko co złotych smoków, które nizko tuż nad ziemią leciały ku słońcu. Po licznych, w łuk wygiętych mostach, szły wciąż roje ludzi, dochodziły do szczytów i ginęły za nimi, jak gdyby zapadały się w otchłań...

Wacław Sieroszewski.

ALOJZY JIRASEK.

CHODOWIE.

Obraz historyczny.

(Ciąg dalszy)

Pochód sunął naprzód wolnym krokiem. Na czele, torując drogę, szedł oddział wojska z głuchym warkiem bębnów, obciągniętych suknem czarnem. W chwili, gdy orszak zbliżał się ku ulicy Prazkiej, jęknęły z wieży dzwony pogrzebowe. Ponure ich dźwięki przeszyły, niby ostrze żelaza, serca matki i żony Jana. Nieszczęśliwe kobiety załamały ręce, tracąc świadomość tego, co się dookoła nich działo.

Hanka doznawała takiego wrażenia, jak gdyby mgła gęsta cały świat przed nią zasłoniła. Z mgły onej płynęły ku niej dziwne jakoweś szmery i stłumiony głos bębnów i ponure dzwonów jęki. Serce w niej zamierało, kurcz ścisnął gardło — nie mogła już płakać...

Nagle Kozina przystanął, a z nim i wszyscy inni: Hanka osunęła się na ziemię, zemdlona. Żywe głosy współczucia podniosły się w tłumie i ozwały z okien, w których tłoczyli się mieszczanie. Wtem mignął w powietrzu srebrny pieniądz, potem drugi, trzeci — dziesiąty, a teraz złoty dukat błysnął i spadł wraz z innemi na kolana Hanki, którą posadzono na ławce kamiennej, przed domem. Miałyż te srebrne i złote monety być wyrazem współczucia patrzących, czy też osłodą dla udręczonego serca nieszczęśliwej?.. Oh, z jakim pośpiechem wyciągnęła rękę ku onym pieniądzom, jakim ruchem boleści odrzuciła je precz od siebie, jak gdyby to były węgle świecące, lub ohydne płazy.

— Wróćcie mi jego, Jana! — wyrwało się okrzykiem rozpaczy z jej ust pobladłych.

Chciano ją zatrzymać, nie pozwalano iść dalej. Lecz jej nowe siły zdawały się przybywać. Wstała i poszła znowu za mężem drogą cierniową — ku szubienicy.

Wysunęli się z miasta bramą Prazką i postępowali dzisiejszem przedmieściem, które wówczas tworzyło jakby jedno pasmo ogrodów. Był jasny, mroźny dzień. Olbrzymi tłum rozlał się teraz falą szeroką po obu stronach drogi. Wielu wysunęło się naprzód, ku wzgórzu, na którem widniała ciemną plamą szubienica. U jej stóp stanęło wojsko, tworząc czworobok. W zamkniętej czworobokiem przestrzeni, zajęli miejsce radni miasta, urzędnicy i oficerowie na koniach. Między tymi ostatnimi poczesne miejsce zajmował starosta Hora, mając po prawej stronie Lammingera, szlachetnie urodzonego pana z Albenreuthu.

Piegowata twarz terhanowskiego pana była, jak zawsze, blada i spokojna. Nagle jednak rude jego rzęsy zamrugały szybciej, bo oto do czworoboku wszedł skazaniec... Lamminger wpatrzył się weń i już oka z niego nie spuszczał. Kozina stąpa krokiem pewnym, nie znać po nim przygnębienia — harda dusza! Ze spokojem niezmąconym wysłuchał wyroku, który odczytano powtórnie, a teraz żegna się z rodziną. Tuli do piersi matkę, żonę, dzieci, całuje ich lica, ręce... Ani jeden muskuł nie drgnął na twarzy Lammingera, gdy patrzał na tę scenę rozdzierającą, na boleść kobiet, płacz dzieci...

Cała jego uwaga skupiona była na Kozinie. Towarzyszył mu spojrzeniem i wtedy, gdy skazaniec oderwał się od rodziny i ku szubienicy skierował. Odważnie idzie, dumnie podnosi czoło, całuje krzyż, który kapłan pochyla ku jego ustom

i śmiało wstępuje na szubienicę, tam, gdzie czeka nań śmierć i kat... Martwa cisza zapanowała dokoła. Wielotysięczny tłum wpatrzył się w jeden punkt, oddech tamując w piersi. Podmuch jesiennego wiatru zachwiał pióropuszami na kapeluszach panów i przyniósł jakiś krzyk rozdzierający. To stara matka skazańca chyli się ku ziemi, tracąc przytomność. Nagle jednak podnosi głowę, wypręża się i patrzy tam, wysoko...

Skazaniec, stojąc na szubienicy, ogarnia, po raz ostatni, spojrzeniem świat. Wzrok jego przemknął po domach miejskich, po pustych polach i spoczął na niezliczonym tłumie, który otoczył żywą falą ludzką wzgórze żałobne. Czy dusza w nim słabnie, omdlewa? — Nie. — A może szuka oczyma swoich górali, którzy stoją tam, w czworoboku, zgnębieni, ze łzami w oczach, a nie jeden — podobnie jak Iskra — z głośnem na ustach łkaniem? — Dojrzał ich, dojrzał też matkę, żonę, dzieci... Ale teraz, na Boga, czemu się odwraca w stronę panów?... Poznał tego, w ciemnym płaszczu, co na koniu wronym siedzi i oczu z szubienicy nie spuszcza... Kozina podniósł czoło jeszcze wyżej i spojrzał mu prosto w twarz, jak wtedy na wójtowstwie, u Syki... Mówi coś... Dreszcz przebiegł po tłumie...

— Lomikarze! — zawołał Kozina dźwięcznym, donośnym głosem, któremu drżenie nadawało dziwną jakąś grozę.

Żywy rumieniec oblał po raz ostatni bladą twarz skazańca, — po raz ostatni błysnęły ogniem jego źrenice.

— Lomikarze! Zanim rok upłynie, stali będziemy obaj przed sądem Boga, a hań się ukaże, który z nas...

Wtem oficer, który kierował ceremonją, opamiętał się. Nagi jego miecz błysnął w powietrzu, kat poderwał pętlę i głos skazańca zgasł...

Jan Sladky, po przezwisku Kozina, już nie żył...

Starosta Hora, mocny zmieszany całem zajściem, począł coś mówić do Lammingera Ów, śmiertelny blady, zdawał się słuchać, widać jednak było, że nie rozumie słów, do siebie zwróconych. Dopiero gdy Hora mu szepnął, że wszystkie oczy są na niego zwrócone, terhanowski dziedzic drgnął i spojrzał na szubienicę.

— Wisi! — szepnął do siebie z westchnieniem ulgi i konia zawrócił.

Dookoła tysiące klęczały, modląc się głośno, razem z księdzem, za spokój duszy zmarłego.

Nietylko w czworoboku, gdzie stali Chodowie, lecz i w tłumie słychać było płacz i łkanie.

A gdy panowie jechali w powrocie ku miastu, Lammnger, widział, że ludzie pokazują go sobie wzajemnie i słyszał wyrywające się z tłumu okrzyki zgrozy:

— Oto on! Ten kat! On ci go wydał na stracenie!...

— Uwidzimy, jako hań będzie, kany Kozina go pozwał.

— Za rok i dzień!... Słyszeliście? A więc za rok, jaśnie panie!

Panowie przynaglali bezwiednie wierzchowców swoich do szybszego biegu.

(C. d. n.)

Z Syberji i Kamczatki

przez dra Benedykta Dybowskiego.

(Ciąg dalszy)

Do takiej partji, szukającej po drodze Kirgizów, należał znany obecnie autor, piszący po niemiecku O. C. On dzisiaj zapewne z tej swojej manji więziennej żartuje, a jednak wówczas pokonać jej nie był w stanie i szukał wraz z towarzyszami Kirgizów w gubernji krasnojarskiej.

Ci tylko, którzy rozporządzali środkami pieniężnymi, znali następnie nieco lepiej geografję Syberji i obrali drogę do wolności nie przez Chiny, ale po trakcie syberyjskim, — ci zdołali nareszcie po kilku próbach bezskutecznych uciec za granicę. Do takich szczęśliwych należeli Landowski i Okończyc, bo Szlenkier, ich towarzysz pierwotny, zaniechał później prób dalszych i pozostał w Irkucku. Powiadają, że jeszcze kilku innych potrafiło zemknąć z Syberji, wszakże wszyscy oni, co w ten sposób próbowali ucieczki na „pojedynkę“, przyczyniali się zwykle do cięższych warunków życia dla reszty pozostałych, a zaś najbliższych kolegów swoich, podejrzewanych przez władze o współwinę, narażali na ciężką, a niekiedy i srogą pokutę.

Z innej znowu strony, pewna ilość naszych ziomków, licząc na pomoc „bryganów“, zaprzyjaźniała się z nimi i biorąc ich za przewodników, próbowała puszczać się w drogę niebezpieczną. Wprawdzie uszli oni z więzienia, ale przypłacili życiem swobodę chwilową, koledzy ich bowiem i współtowarzysze, „brygani“, zabijali ich niemiłosiernie, nieledwie w pierwszej zaraz dobie ucie-

czki i dzielili się łupem łatwym, na naiwnych towarzyszach zdobytym. W ten sposób zginął, z pomiędzy innych, były pułkownik wojsk rosyjskich, sądzony do katorgi za udział w powstaniu, Krasucki.

Największa jednak ilość zesłanych, nie mających środków pieniężnych do rozporządzenia, a niedowierzających „bryganom“, inną sobie drogę do wolności znaleźć postanowiła. Myśl gremjalnej ucieczki, znalazła na raz wielu zwolenników. Powiadano, że „jak Syberja Syberją, nigdy jeszcze na raz tu nie było tylu ludzi poświęcenia, chętnych do czynu, (liczono 18.000 osób zesłanych), więc zróbmy z siebie ofiarę dla dobra ludzkości, zrzućmy własne okowy, powołajmy do nowego życia Syberję całą. Możemy paść i zginąć w tej nierównej walce, ale idea, którą zaszczepimy w duszę ludu, z nami nie zginie“. Takimi były owe główne motywy ruchu, który objął Syberję, zachodnią i wschodnią i zakończył się tragedją rozpaczliwą u wybrzeży Bajkału.

Ósmego listopada 1866 rozstrzelano w Irkucku Szaramowicza, Kotkowskiego, Celińskiego i Rajnerta, wszyscy oni zginęli, mając na ustach to zdanie, „że idea, co im w życiu przyświecała, nie zginie“. Historycy, a pomiędzy nimi Maksimow, pisząc o próbach ucieczki Polaków, zesłanych na Syberję, potępiali je bez apelacji. Tak! ze strony rozumu, były one wszystkie beznadziejne, ale patrzmy w serce i wtedy spostrzeżemy snadnie w tych próbach rwanie się dusz szlachetnych ku wzniosłym ideałom swobody. Ci wszyscy ludzie, ginący pod pałkami mściwych despotów, lub na szubienicy, nie znajdywali w tłustej pieczeni niewoli — ideału ugodowców. Oni nie wołali do zwycięzców: „wykonamy wszystko zgodnie z wolą serca waszego, będziemy mówić językiem waszym, będziemy czcić bogów waszych, wyrzeczemy się całej przeszłości, bylebyście ocalili życie i mienie nasze, bylebyście przyjęli nas do łaski swojej“. Czy my ich za to potępić mamy prawo, jak to czynią ludzie praktyczni? — chyba nie. Dopóki w sercach miłość ojczyzny nie wygaśnie, czcić będziemy pamięć męczenników naszych.

Z pism i książek.

Dwie książki o Sienkiewiczu. Ostatnie powodzenia, jakich doznały pisma Sienkiewicza, jego jubileusz i związany z nim rumor sławy w świecie literackim wywołały obok licznych przygodnych prac lub artykułów o tym autorze oczywiście i chęć ujęcia całej jego twórczości w pewien całokształt. I oto aż dwie ukazały się książki polskie, poświęcone działalności literackiej Sienkiewicza, interesujące dlatego, że przedstawiają na jednym przykładzie dwa typy pisania krytyk, analitycznie-objektywnego i syntetycznie-subjektywnego.

Pierwszy rodzaj przedstawia Piotr Chmielowski w książce p. t. „Henryk Sienkiewicz w oświetleniu krytycznem“ (Lwów, nakł. Tow. wydawniczego). Jest to zbiór ocen, pisanych przeważnie na podstawie świeżych wrażeń, odniesionych z czytania dzieł Sienkiewicza w rozmaitych czasach, ale ułożony potem chronologicznie, uzupełniony na początku wstępem o rozwoju powieści po Balzaku i charakterystyką realizmu i naturalizmu Sienkiewicza, a na końcu rzutem oka na jego filozoficzno-społeczne poglądy. W ocenach poszczególnych utworów przedstawia Chmielowski kolejno zalety i wady Sienkiewicza, od nowel począwszy, potem roztrząsa trylogję, najdłużej zatrzymując się nad „Ogniem i Mieczem“, któremu zarzuca jednostronność, podczas gdy „Potop“ uważa za część najlepszą, następnie ocenia obserwację życiową Sienkiewicza w powieściach obyczajowych, a kończy rozbiory oceną „Quo vadis“ i „Krzyżaków“, które uważa za koronę jego twórczości.

W całej książce widać na każdym kroku usiłowanie nie wyjścia po za ramy objektywnej analizy twórczości wielkiego powieściopisarza i jeżeli osobiste zapatrywania grają w niej rolę, to o tyle tylko, o ile ogólnie wymykają mu się, gdy pisze o czemś, co wedle swego estetycznego kodeksu uważa za złe lub dobre. Wogóle zaś co do sądu ogólnego więcej pozwala wnioskować, niż mówi wprost od siebie, zupełnie odmiennie od innego pisarza, Józafata Nowińskiego, który równocześnie wydał książkę p. t. „Henryk Sienkiewicz“ (Warszawa nakł. Gebethnera i Wolfa). Ten przedewszystkiem napisał swoją pracę odrazu tak, że jest ona, jak mówią Niemcy *aus einen Guss*. Rozbiór szczegółowy, objektywny jest, jak mówi sam autor, sprzecznym ze wszystkiem, co w nim jest „najlepszego i najmędrszego“. Traktując więc na wyrywki szczegóły tak jak one podrażniają jego uczucie, zdaje sprawę ze stanu tych uczuć. Zgadzając się pod względem wyobrażenia o wielkości Sienkiewicza, jako powieściopisarza, z Chmielowskim, kreśli więc Nowiński właściwie siebie, jako entuzjastycznego czytelnika dzieł Sienkiewicza.

Owóż gdyby Chmielowskiego i Nowińskiego można porównywać, jako pisarzy, równych sobie mniej więcej twórczością i wiekiem, to wyższość przyznaćby należało pierwszemu, jako objektywnemu. Podczas bowiem, kiedy Nowiński uległ potędze Sienkiewicza tak, że całą duszę wyczerpał na wyrażenia swych uczuć dziełami jego poruszonych, Chmielowskiemu wystarczyło jej na wyemancypowanie się z pod ich panowania i na rozwagę. Ale tak nie jest. Chmielowski dwa razy starszy, specjalista krytyk, miał ponadto gotową już miarę w tzw. „wyrobionych“ pojęciach pozytywno-estetycznych i potrzebował tylko stwierdzić, że to lub owo przystaje do nich lub nie, aby już dać surrogat analizy objektywnej. Tej u Nowińskiego niema wcale, ale za to w naiwnych swoich zachwytach tak on się wyczerpuje, że chociaż dopiero przez niego, odczuwa czytelnik Sienkiewicza głębiej, niż przez książkę Chmielowskiego.

St. W.

Z drukarni W. A. Szyjkowskiego Lwów, ul. Kopernika 5.